Ner 1. Kraków 1 stycznia 1869. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezyje. — Z przyrody. — Korespondencyje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa: w księgarni J. Czecha hotel drezdeński.

Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny — w Krakowie.

Adryanna de Lafayette.

(ŻYCIORYS).

Miłą niespodziankę sprawiła publiczności przed trzema laty wydana biografia Anny de Noailles markizy de Montagy. Życie jéj jako towarzyszki w roku 1789, tułactwa teścia swego i męża przedstawia jeden wielki obraz ciągłych boleści. Rzewny ten opis otrzymał niedawno zajmujące uzupełnienie, a tém jest życiorys pani de Lafayette, siostry pani de Montagy, poprzedzony notatką o życiu ich matki księżniczki d'Ayen. Nie wiele znajdzie się rodzin mogących poszczycić się tylu bohaterskiemi kobietami, święcie oddanemi swym obowiązkom, a nawiedzonemi tylu okropnemi nieszczęściami. Wysoki stopień towarzyski i odblask sławy nadają rodzinie téj tém więcéj znaczenia, chociaż, gdyby tu nawet nie chodziło o tak wzniosłe imiona, tyle zacności i cnót musiałyby same przez się wzbudzać cześć i podziwienie.

Księżna d'Ayen wychowała się pod okiem kanclerstwa d'Aguessau swych dziadków, ludzi charakteru wzniosłego. Znane jest odezwanie się kanclerzyny razu jednego do męża zagrożonego niełaską despoty Ludwika XIV.: „Zapomnij na żonę i dzieci, a postępuj „według sumienia i honoru"; Saint Simon zaś, który nikogo nie kochał i nie podziwiał, wyraża zię o kanclerzu: „Wzniosły a sprytny umysł, wszechstronna wie„dza, powaga, pobożność, sprawiedliwość i czystość „obyczajów składają się na jego charakter". Życie księżnéj przepływało długi czas w spokojném kółku rodzinném. Mając pięć córek zajęcie się ich wychowaniem i losem wypełniało zupełnie jéj spokojny tryb życia, dopóki burze polityczne nie zaniepokoiły jéj lat ostatnich i nie przywiodły do okropnego końca. — Dwóch z jéj zięciów panowie: de Lafayette i de Noailles zostali zwolennikami nowych idei. Widziała ich obu walczących za wolność Ameryki, obu biorących udział w działaniach konstytuanty. Podczas, gdy Lafayette objął dowództwo gwardyi narodowéj, był wicehrabia de Noailles głównym twórcą świetnych czynów nocy 4go sierpnia. Mąż jéj znajdujący się jako kapitan gwardyi w Tuileriach przy królu, cudem prawie uszedł śmierci dnia 10go sierpnia.

Tak więc członkowie jednéj rodziny znaleźli się w przeciwnych obozach.

Widząc wszystkich członków swéj rodziny uwięzionych lub zbiegłych, została sama w Paryżu wraz z starą matką męża, swą starszą córką wicehrabiną de Noailles i jéj trzema małemi dziećmi, i była przymuszoną z sprzedaży kosztowności dom utrzymywać. Była świadkiem sądu i stracenia króla, królowéj — świadkiem strasznych krwawych rządów. W maju 1794 r. została uwięzioną wraz z swą córką i starą marszałkową de Noailles, a za towarzyszkę w więzieniu Luxemburskiém miały księżnę d'Orleans, matkę Ludwika Filipa. Postawiono ją przed trybunał rewolucyjny. Rzewny opis ostatnich chwil tych męczennic zostawił l'abbé Carrichon ich spowiednik. Przygotowując je na śmierć rzekł: „Jak pójdziecie na gilotynę a Bóg mi sił nie „odmówi, to będę wam towarzyszył". „Obiecujesz nam" wyrzekły gorączkowo. — „Tak, a iżbyście mnie po„znały będę miał na sobie niebieski surdut i czerwoną „kamizelkę". W dzień stracenia poczciwy spowiednik przebrany jak obiecał, narażając się w razie poznania na pewną śmierć wmięszał się między gawiedź. Pomimo największych wysileń nie zdołał się przecisnąć w pobliże wozów wiozących nieszczęsne ofiary, aż silna burza rozegnawszy tłumy, dozwoliła mu tego dokonać. Pani de Noailles ujrzawszy go, szepnęła: Mamo, to on! o ileż nam lżéj teraz.... Pani d'Ayen nabrała otuchy. „Czułem w sobie, mówi l'abbe wzrastającą odwagę. Przemokły od potu i deszczu towarzyszę im daléj — burza wzrasta do ogromnych rozmiarów. Zwichnąwszy czepek na głowie staréj marszałkowéj rozwiewa jéj siwy włos; a ona pochylona siedzi na nędznéj desce bez poręczy z rękoma w tyle związanemi. Tak zdążamy aż do przedmieścia Śgo Antoniego. Wozy postępują coraz wolniéj. Ja zbliżywszy się jak tylko można było najwięcéj, zwracam się do nich dając im znak. Pani de Noailles zrozumiawszy mię dobrze, rzecze: „Mamo, X. Carrichon chce nam dać rozgrzeszenie".

Nachyliły głowy z świętym wyrazem pobożności, skruchy i nadziei. Ja wznoszę ręce i z nakrytą głową wygłaszam wyraźnie i z nadludzką odwagą słowa rozgrzeszenia i modlitwy odpowiednie. Wtém powietrze się uspokaja, deszcz ustaje, tak iż zda się, jakoby burza jedynie na to się była wzniosła, by pod jéj osłoną to gorąco upragnione nasze porozumienie się umożebnić".

Jakiż to wzniosły obraz! Szczegóły stracenia opisane są z równie wymowną prostotą: Stara marszałkowa wstąpiła pierwsza na ołtarz ofiarny. Musiano odkroić kawał sukni, aby obnażyć jéj szyję.... Sześć niewiast nastąpiło po niéj — pani d'Ayen była dziesiątą! „Chciałem odejść, a jednak zostałem chcąc wypić ten kielich aż do dna i dotrzymać danego słowa, a Bóg użyczył mi sił do przetrzymania tych okropności. Jakże dziękowała Bogu za łaskę, że umierając pierwéj nie potrzebowała się patrzeć na śmierć swéj córki. — Kat zrywając jéj czepiec szpilką przypięty zahaczył nią o włosy, a wyraz boleści wystąpił na jéj twarz. Matka skończyła... a szlachetna córka zajęła jéj miejsce. Co za okropne wrażenie na widok téj młodéj niewiasty w bieli, podobnéj do jagnięcia na rzeź wydanego! Zdało mi się, żem jest przytomnym męczeństwu jednéj z świętych niewiast biblijnych". — Równie jak z matką stało się i z córką... ten sam wypadek z szpilką, ten sam wyraz boleści, spokój, taka sama śmierć! Dokonało się — westchnąłem modląc się, a ciało jéj wrzucono do strasznego dołu *).

Córka, wnuczka i siostra tych trojga niewinnych ofiar Adrianna de Noailles markiza de Lafayette urodziła się r. 1759. Już w pierwszéj młodości żądza poznania istoty religii znamionowała umysł niezwykły. Czternaście lat mając wyszła za mąż za p. de Lafayette mającego lat 16. Ten w czwartym roku pożycia małżeńskiego udał się do Ameryki. W pamiętnikach jego znajdnje się list do żony donoszący jéj, iż został ranny w nieszczęśliwéj potyczce pod Brandywine. Tylko miłość wzajemna potrafi się wyrażać tak wdzięcznie i delikatnie — posłuchajmy: „Winienem ci małą rzecz oznajmić. Mógłbym wprawdzie dla twego zaspokojenia powiedzieć, że powodowany rozsądną rozwagą położyłem się na kilka tygodni do łóżka chroniąc się przed niebezpieczeństwami, ale zdaje mi się, że lepiéj będzie, gdy się przyznam do małéj rany w nodze, którą otrzymałem sam nie wiem jak i kiedy, bo się wcale nie narażam. Pomówmy o niéj: Kulka zadrasła mięśnie nie obraziwszy kości ni nerwów. Doktorzy zdziwieni łatwością z jaką się goi, wpadają w zachwycenie utrzymując, że nic tak ładnego nie widzieli. Różne są gusta, mnie jednak zdaje się, że to jest rzecz bolesna, a przedewszystkiém nudna. Oto moja droga — wielka historyja mojéj rany, którą ci opowiedziałem jedynie na to, aby się zrobić więcéj interesującym. A teraz jako żonie jenerała amerykańskiego udzielam ci rady. Gdy ci powiedzą: „Zbito ich" — odpowiedz: „Prawda, ale straty nieprzyjacielskie są pomimo tego daleko znaczniejsze". A gdy ci zarzucą: „Ale Filadelfia, najznaczniejsze miasto Ameryki, czoło wolności, stracona" — to im odrzeknij: „Nic tego nie rozumiecie, Filadelfia jest smutném miastem, zupełnie otwartém, a więc bez wielkiego znaczenia".

Położenie Amerykanów było wtedy rozpaczliwe i jedynie wiara w słuszną sprawę i rzutność młodego Francuza zdołały umysły do świeżych wysileń pobudzać. Francyja musiała nareszcie pod naciskiem opinii publicznéj uznać niepodległość Stanów-Zjednoczonych; wtedy Lafayette wrócił do kraju, by domagać się obiecanych dla Ameryki posiłków. Po niedoszłym projekcie wylądowania i napadu na Angliją, wysłano część korpusu ekspedycyjnego do Ameryki. Lafayette pospieszył tam naprzód, jako zwiastun téj dobréj nowiny.

Pani de Lafayette miała wtedy lat 19. Umysł jéj wiekiem dojrzalszy i więcéj poważny, wzniósłszy się do wysokości zdań i zamysłów męża, uczuł tém głębiéj boleść tego powtórnego rozstania, a miłość jéj podsycona wdziękiem świeżego obcowania i ciągłą obawą o męża stała się niezmierną. Szczytne powodzenie tego awanturniczego przedsiębiorstwa osłodziło nieco jéj życie stroskane. Po pierwszy raz od czasów Ludwika XIV. pobiła Francyja Angliją na lądzie i morzu. Walcząc za sprawę świętą, za wolność narodu spodziewała się i swoją wolność przez to zabezpieczać; to téż radość była szaloną, entuzyjazm ogólny. Lafayette był bohaterem tego odrodzenia narodu, on pierwszy ujął się za sprawą Ameryki, on rozstrzygnął los wojny, on się najwięcéj przyczynił do szczęśliwego jéj zakończenia. Przyjaciel Washingtona i pogromca Anglików był przedstawicielem obecnych tryumfów i nadziei w przyszłość — miał wtedy lat 25.... Paryż przyjął go po powrocie z Ameryki z prawdziwém zachwyceniem. Co za rozkosz i duma dla małżonki! Pięć lat strasznéj obawy wynagrodził jéj sowicie ten jeden dzień. Przez następnych lat 8 używała szczęścia domowego, które tak drogo okupiła. Był to czas najświetniejszy rządów Ludwika XVI. Publiczność francuzka w przededniu strasznych przewrotów oddała się zupełnie niepewnym marzeniom o pokoju i wolności. Jenerał korzystał z tego czasu usiłując przeprowadzić rozliczne reformy. Pracował nad zniesieniem niewoli i w tym celu kupił posiadłość w Cayenne, by dać przykład

*) Wicehrabia de Noailles był wtedy za granicą. Za konsulatu wstąpił w służbę i poległ w Saint Domingo. Z dwóch jego synów Aleksy był za czasów restauracyi członkiem izby deputowanych, a Alfred poległ w walce za kraj podczas powrotu z Rosyi.

stopniowego usamowolnienia. Zarząd poruczył żonie, i zajęła się nim z gorącą pieczołowitością, podsycaną wzniosłym zamiarem uszlachetniania murzynów zapomocą religii. Na zgromadzeniu Notablów r. 1789, w którém brał udział, upominał się Lafayette o prawa obywatelskie dla protestantów, a żona jego podzielając te zasady, przyjmowała z żywym udziałem protestanckich kaznodziei, którzy Paryż wskutek téj sprawy nawiedzali. „Z duszą i ciałem wylana dla kościoła — wspomina o niéj własna jéj córka pani de Lastegrie, nienawidziła wszelkich religijnych prześladowań jako przeciwnych duchowi ewangelii; uważała za wielką zbrodnię ograniczanie wolności, jakiéj Bóg ludziom użyczył. Łączyła w sobie jak najliberalniejszą tolerancyją wraz z gorącą pobożnością“.

Rewolucyja postępowała tymczasem coraz szybszym krokiem. Pani de Lafayette nie podzielała wprawdzie wszystkich złudzeń męża, ale pochwalając jego wyobrażenia podziwiała odwagę. „Drżała przed niespodziewanemi wypadkami i wzywała miłosierdzia bożego“.— Nie zdradzając w niczém wewnętrznego niepokoju patrzała z mocą duszy prawie nie do uwierzenia na niebezpieczeństwa, na jakie się codziennie mąż narażał. „W tym czasie za każdém wydaleniem się jego z domu przygotowaną była już go więcéj nie zobaczyć“.

(Ciąg d. nast.)

Do złotowłoséj.

Dzieweczko nieboże, tyś dotąd na świecie
Kwitnęła jak kwiatek, marzyła jak dziecię,
Gdy pałac buduje karciany.
Stróż anioł co nocy kołysał cię we śnie,
I nucił promienny najsłodsze swe pieśnie
Do świtu jutrzenki różanéj.

Lecz ziemi méj córko, rzuć okiem w około,
Choć może dum chmura upadnie na czoło,
Choć z oczu popłynie łza cicha;
Bo naród twój cały, jak Chrystus w ogrojcu
Wyciąga ramiona i modli się ojcu
U krwawéj ofiary kielicha.

Więc polska dziewczyno, nie wolno ci dłużéj
Żyć życiem motylka, słowika lub róży
Nim tchnienie ją wiatrów rozdmucha.
I ciebie głos matki już woła do pracy,
I tobie twój udział już dają rodacy,
Boś jedno ogniwo łańcucha.

Ach uwierz w to dziecię, a wiarą tą dumna,
Gdy spojrzysz po świecie czująca, rozumna,
Cud wielki się stanie przed tobą:
Sukienek twych gazy, koronek twych tkanki
Rozwieją się nagle w leciuchne gałganki,
Przydatne być lalki ozdobą.

I znudzi się sztuczna w salonie piosenka,
Zadumasz się tęskna nad ramą krosienka,
Gdzie siatka z pajęczyn się snuje.

A kiedy wzrok łzawy podnosząc do nieba
Zapytasz się Boga co czynić ci trzeba
W téj wielkiéj godziny momencie?
On cicho przez serca odpowie ci bicie,
Że wszystko co bratnie, zespolić masz dziecię
Pod jedno miłości objęcie.

A wtedy zmieniona w anioła pociechy,
Co staréj przeszłości zmazywać ma grzechy
Do nizkiéj wieśniaka wejdź chatki.
Lecz biednych nie kusząc słów próżnych szelestem,
Czynami im powiedz: ja siostrą wam jestem
Z téj świętéj, z téj jednéj nam matki!

A oni ci wtedy uwierzą dziewczyno,
I jedną się z tobą uczują rodziną
Złączoną na wszelkich trosk bole;
A kiedy usiadłszy na ławie dębowéj
Miłości słodkiemi odezwiesz się słowy —
W braterskie cię zamkną półkole.

I jak te niw skiby, co pługi ich orzą,
Bijące się serca przed tobą otworzą,
Czekając za ziarnem prawd żywém.
A wszystko co pierś twa boskiego ma w sobie,
Coś w myśli, coś w uczuć złożyła zasobie
Tym bratnim stać może się siéwem.

Więc śmiało dziewczyno! do pracy, do trudu,
Boś nie jest rusałką z majowych snów cudu,
Co na strój ogników ma blaski;
Lecz z Ewy bolesnéj zrodziłaś się dziecię,
Więc w znoju, więc w bolu iść musisz przez życie,
Aż bożéj dokupim się łaski.

Marya Ilnicka.

O powieści i powieściopisarzach

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

(Ciąg dalszy.)

Jednym z najpierwszych i prawie najszczęśliwszych naśladowców Walter-Skota u nas był *Niemcewicz*, którego „Jan z Tęczyna“ jest przebraniem szkockiego pi-

sarza w kontusz i żupan ze szkodą jednak tartanu i plaidu. Przedmiot wybornie obrany, ślicznie obrobiony, interes ciągły, obrazy prawdziwe, wiele erudycyi zalecają ten romans, czynią jednym z najlepszych dzieł Ursyna. Możnaby tylko zarzucić trochę staroświeckiéj deklamacyi i pospolitości niektórych charakterów. Dowcipne spostrzeżenia i trafne obrazy stanowią całą wartość jego „Sieciechów“, oraz „Lejby i Siory“. W tym jednak ostatnim romansie na nieszczęście przywiązała się do autora myśl utylitarna, któréj poświęcił wiele pod względem artystycznym. Poprawić żydów książką, któréj czytać nie mogli? nie wiem, czy podobna było; więc na co z tego, co być mogło prawdziwym humorystycznym obrazem, robić było znowu utopiję. — Lepszym romansem ze szkoły naśladowców poety angielskiego jest „Pojata“ *Bernatowicza*, któréj jednak głównem uchybieniem jest brak dobrego ułożenia ogółu; dzieło to po części przyrównać można do téj izdebki optycznéj, w któréj widzowi ukazują się kolejno wszystkie zewnętrzne przedmioty, odrysowane są wprawdzie w żywych kolorach, bawią przyjemnie oko nasze, lecz trwałego nie zostawują wrażenia. — Do współczesnych niemal powieści należy także „Malwina“ *Księżnéj Wirtembergskiéj*, romans znaczący w swoim czasie, o którym pisał Śniadecki, a który tłumaczono na obce języki. Jestto dzieło kobiece; wybaczamy więc w niém niektóre nadto może patetyczne i deklamacyjne kawałki, a chętnie zwracamy uwagę na wszystkie spostrzeżenia obyczajowe, które z niepospolitą dokonane są trafnością.

Wspomnieć tu także należy o *Jaraczewskiéj*, któréj powieści jak „Zofija i Emilija“, „Wieczór adwentowy“, „Pierwsza młodość“ noszą cechę autora, mają swój osobny charakter, indywidualne przymioty i wady, jedném słowem są zupełnie oryginalne; — o *Massalskim*, autorze „Podstolica“, romansu obyczajowego, lecz zbyt, że tak powiem, administracyjnego, który przeczuł i oznajmił przyjście i sławę powieści panny *Martineau;* — o *Bronikowskim*, który chociaż nie pisał po polsku, ale romanse jego historyczne dowodzą talentu znamienitego i wielkiéj wprawy. Nie mamy jednak z owych czasów żadnego gienialnego romansopisarza, któryby niezależnie od smaku wieku i przykładu obcych wystąpił z dziełem, mogącém mieć jakikolwiek wpływ na ducha literatury, któryby albo w formach, albo w materyi zupełnie od otaczających był różny. — Francyja miała kolejno *Scudéri*, *Genlis*, *Ducray-Duminil*, *Lesagea*, póki nie przyszła do *Jacobów*, *Janinów*, *Sue*, *Balzac*, *Hugo*. Niemcy mieli *Richtera* olbrzymiéj fantazyi i oryginalności pisarza przed *Hoffmannem* i *Goethem*. — Anglicy mieli *Sterna*, *Fildinga*, *Dawela Foë* i t. d. przed *Walter-Skotem*, *Horace Smithem* i *Maturinem;* — my tylko i Włosi żadnego oryginalnego nie posiadamy pisarza. I to jeszcze nie godzi nam się porównywać z Włochami, którzy nowellistów od XV. wieku, wprawdzie podobnych do siebie jak bliźnięta i (że się tak wyrażę) jednostkowych, ale mają. — Z form, pod jakiemi ukazywały się najczęściéj powieści i romanse u nas, wnosić należy, że naszym rodzajem były te drobnostkowe *tableaux de genre*, które zacząwszy od *Krasickiego*, pokazują się ciągle w utworach *Niemcewicza*, *Skarbka*, *Ks. Wirtembergskiéj*, *Massalskiego*. Nie mieliśmy żadnéj prawie fantastycznéj próby, którąby z upodobaniem czytana i naśladowana była. Co tylko wychodziło z innych prawideł rozumu, choćby było dla czucia i imaginacyi powabném, u nas zawsze niemal witane było wykrzyknikiem takim, jakim witano „Zawieprzyce“ *Bronikowskiego:* to bez sensu!

Po przejściu wielkiéj epoki poetycznéj, musieliśmy nareszcie opuścić ideały, a zapytać życia i rzeczywistości o te kwestyje, które na wieku, na czasie, na narodzie i na pisarzach zaciężyły i zawisły. Ten realistyczny okres był tedy powodem ważności powieści i zstąpił do wszelkich innych rodzajów i sposobów pisania. W tym realiźmie wyrabiał się duch społeczny, domagający się we wszystkich kierunkach życia wielkich korzyści i zapytał poezyję o jéj ideały, historyję o jéj doświadczenia, a życie o jego nabytki. Powieść nasza postawiła niejako na próbę ideały poezyi i zażądała od niéj, ażeby albo pośrednio wpływała na życie, albo przynajmniéj w sferze własnéj umiała się obronić od życia. Tego samego zażądała i po historyi, tj. praktycznego wpływu umiejętności czyli doświadczeń wieku na życie i na stosunki ludzkie. Rozbierając w końcu obyczaje karciła, co było zdrożném, co stało postępowi na zawadzie; wskazywała nowe nadzieje i drogi, i w ten sposób ułatwiła narodowi tę pracę, która go w przeciągu tego wieku czekała. — Dlatego téż na uwagę zasługuje zwrot odmienny bardzo, na który u nas wprowadza romans *Fryderyk Skarbek*. Jakoż występuje odtąd coraz więcéj na pole tradycyi narodowéj, i w ten sposób powstaje powieść narodowa. Po r. 1830 jest przez kilka lat wielka cisza. Oprócz małéj gromadki poetów naszych i szczupłéj liczby romansów, literatura nic nie posiadała, czémby mogła kółko czytelników powiększyć. Polki za żywioł cały, jak zwały lektury, miały stosy francuskich romansów, które silnie oddziaływały na ich umysł i serce; szkodliwe skutki widzimy w żywych wzorach prawie dotąd. Następnie głównie rzucają się u nas pisarze na pole romansu; i tu już mamy niejako całe szkoły każdą z nich reprezentuje znakomity pisarz, a na czele wszystkich, jakoby patryjarcha, stoi wysoko *Kraszewski*. Czynnością swoją zajął on całe prowincyje, płodami swemi cały nasz kraj zalał; wytrącił z rąk cudzoziemskie romanse i nauczył czytać u nas tych nawet, którzy dotąd nie czytali. Powieść jego doszła wprost do życia i roztrząsa wszystkie kwestyje towarzyskie socyjalne i polityczne. Na téj

drodze oznaczają pisma Kraszewskiego ów realistyczny kierunek w literaturze polskiéj, który ideały, teoryje, historyją, obyczaje i tradycyje zapytuje o powszednie korzyści społeczne i z tego stanowiska ocenia ich wartość. Romans jest tu tylko formą dialektyczną; na dnie leży realizm. Wielką liczbą romansów jak i talentem niezwyczajnym w ciągu lat niewielu potrafił Kraszewski niemal sam zwrócić nasze Polki do czytania polskich powieści i zabił frymark księgarski tłumaczeń lichych i lepszych nawet powieści francuskich i niemieckich, a znacznie zmniejszył ilość sprowadzanych w oryginale z zagranicy romansów. Jego to powieści przeszły zwolna i do budoarów dam naszych, a strojne panie po raz pierwszy z podziwieniem czytając je, musiały przyznać naprzód, że są równie dobre jak francuskie, a następnie, że są i lepsze od nich. W historycznych jego powieściach zdają się zmartwychwstawać pod jego piórem postacie przeszłości; ich usta przemawiają językiem, do jakiego w swym czasie przywykły; oczy zapalają się dziwnym dla nas blaskiem, jak zgasłe dawno meteory na nowo zapalone; poruszają się w poważnym, uroczystym ruchu; westchnienie dobywa się z piersi ich jedno, święte, ku świętemu celowi, który wytknęła natura. Takimi są bohaterowie powieści: „Rok ostatni Zygmunta“ etc., „Kościół Śto-Michalski“. Najwięcéj uderza ten kontrast wypadków i charakterów osób, jaki we wszystkich jego romansach napotykać można. W ogóle Kraszewski natworzył takie mnóstwo, że ani sposób przeliczyć wszystkich jego dzieł i powiedzieć, które z nich najlepsze, jakkolwiek pierwszeństwo między niemi trzymają: „Powieść bez tytułu“, „Sfinx“, „Ostap Bondarczuk“, „Dziwadła“, „Poeta i świat“, „Boża czeladka“, „Resztki życia“, „Całe życie biedna“ itd. Nic dziwnego, że pracując bez przerwy na tém polu, Kraszewski częstokroć daje się porywać zachciankom tendencyjnym, jak np. w „Dziwadłach“, „Chorobach wieku“ i innych; gorzej nierównie, że częstokroć zapomniał o najpierwszych przepisach przyzwoitości i powieśćmi takiemi, jak „Pan Karol“, „Cztery wesela“, „Interesa familijne“, „Kopciuszek“ i t. d. zaszczepił wprost w młodzieży naszéj pociąg do obrazów sprosnych i niemoralnych. Wszakże działalność jego w literaturze jest ogromna, wpływ jego nawet w piśmiennictwie niedostatecznie dotąd oceniono. Artystyczne pojęcie przedmiotu i schwycenie w nim strony najbardziéj estetycznéj, jest główną cechą jego talentu, mimo lat i pracy tak nieustannéj, zawsze świeżego, zawsze jeszcze pełnego poezyi, któréj ma niewyczerpane źródło w własném sercu.

Początkowo sam stojąc w tych szlachetnych szrankach, po kilku latach znalazł pomocników i pod ich piórem pełném talentu romans nabrał wielkiego znaczenia w literaturze naszych czasów. O jego ważności i wpływie przekonał się i *Korzeniowski*, który dotąd wyłącznie poświęcał się dramatowi; romanse téż jego stanęły od razu obok utworów Kraszewskiego, a nawet je nieraz przewyższały. Jestto malarz obyczajów i charakterów tegoczesnych, życia upoetyzowanego wprawdzie ale codziennego, tego samego, na jakie bezustannie patrzymy, wypadków prawdziwych, tylko w ramy sztuki ujętych, jedném słowem malarz obrazów, które dla następnych pokoleń przeważnym staną się materyjałem co do kostiumów równie jak co do kolorytu, głównie zaś co do wszystkich wewnętrznych oznak dzisiejszéj społeczności. Zna on serce ludzkie, zna stosunki życia, ale patrzy na nie z dziwą obojętnością, przypominającą romanse Goetego; maluje je wiernie, porywa nas niekiedy, ale nigdy za ideałami nie goni. Nie posiadał Korzeniowski tego improwizacyjnego usposobienia, które stwarza rzeczy będące arcydziełami w częściach, nierówne w całości, porywające chwilami, a miejscami słabnące; nie malował z potęgą, ale rysował i wykończał pracowicie. Do znakomitych jego romansów należą: „Kollokacyja“, „Emeryt“, „Garbaty“, „Wdowiec“, „Spekulant“, „Tadeusz bezimienny“, „Krewni“ i t. d., z których ostatnim dwom zarzucić można nieczyste anti-narodowe pojęcia i tendencyje, czem w ogóle Korzeniowski poniekąd jest nacechowany i ztąd doznał nader ciężkiéj krytyki.

Zastęp pisarzy poświęcających się wyłącznie niemal powieści coraz się powiększał, a każdy ich utwór znajdował częstszych czytelników. Trzecim człowiekiem arcypotężnym w literaturze naszéj, który także na utworzenie romansu, na jego kierunek, na literaturę społeczną wpłynął, był *Henryk Rzewuski*, który stworzył w powieści nowy rodzaj powieści szlacheckiéj. W pierwszéj chwili wszyscy mu na ślepo uwierzyli i zamiast dotychczasowych wymysłów, nastało wielkie współczucie w literaturze dla szlachetczyzny. Znalazł dużo naśladowców, i zaczęto malować obrazy szlacheckie, sejmiki, wesela i uczty staropolskie. Byłto człowiek największego wpływu na społeczeństwo, na swój czas i na piszących. Jego „Pamiętniki Soplicy“, „Listopad“ i „Zamek Krakowski“ będą w literaturze naszéj stanowiły epokę, równie jak „Pamiętniki Paska“, które tak stanowczy wpływ wywarły na powieść obyczajową i tradycyjną. Na to, co Rzewuski jako poeta, jako twórca postawił, na te postacie, na te typy zgodzimy się wszyscy i podziwiać je będziemy zawsze; ale nie zgodzimy się na jego osobiste sposoby widzenia, któremi objaśnił „Listopad“ i które wyraził skandalicznie w „Mieszaninach obyczajowych“, albo które nareszcie upadkiem moralnym i cynizmem najwięcéj tchną w „Pamiętnikach Michałowskiego“. Zawód Rzewuskiego jako powieściarza podzielić wypada na dwie epoki: w pierwszéj świetnéj okazał się pisarzem prawdziwie narodowym, z uczuciem polskiém, z zamiłowaniem prawdy; w drugiéj, zaciemnionéj objawił ducha i myśli zupełnie

narodowemu uczuciu przeciwne. — W ślad za Rzewuskim wskrzeszał z wielkim talentem staropolskie postacie *Zygmunt Kaczkowski*, nazywany powieściopisarzem historycznym, a pod pewnym nawet względem miano to słusznie mu się należy. Epoka, którą opisuje, obyczaj, którego częstokroć arcydokładnym jest malarzem, życie publiczne, które w całéj sile i zbutwiałości przedstawia, wszystko to przeszło już w dziedzinę historyi, a odtworzone dla nas w postaciach żywotnych, jest udatnym minionego czasu obrazem. Ponieważ jednak w powieści historycznéj przemaga żywioł poglądu ogólnego, podstaw szerokich i obszernego rozmiaru, w powieściach Kaczkowskiego sama już szczupłość ramek nie pozwala na rozwinięcie idei dziejowéj i zmusza poniekąd autora do zachwycenia życia z innéj strony, czysto ludzkiéj i sercowéj. W takim razie praca historyczna pozostać musi na drugim planie i częstokroć tak wygląda, jak gdyby służyła tylko za tło do tém wybitniejszéj gry uczuć, do tém skuteczniejszego podniesienia raz rzewnych, raz gwałtownych poruszeń. W tym rodzaju są jego powieści: „Murdelio“, „Bracia ślubni“, „Mąż szalony“, „Ostatni z Nieczujów“, „Grób Nieczui“. Ze znakomitych jego powieści jak „Sodalis Marianus“, „Starosta Kołobucki“, „Anuncyata“ lepiéj poznajemy wszystkie odcienia dawnych epok, danego publicznego i powiatowego życia i ruchu, aniżeliby to z najbardziéj wyczerpujących ksiąg latopisarskich, biograficznych wiadomości i notatek statystycznych dzisiaj się dało uskutecznić. W romansach jak „Bajronista“, „Dziwożona“, „Wnuczęta“, „Rozbitek“ widzimy już nowe dążności pisarza społecznego, który się we wszystkich naszych tegorocznych stosunkach rozpatruje, który je umie wytłumaczyć, umie na końcu z zawiłości tych stosunków wyprowadzić czytelnika na pole przyszłych nadziei; są to niejako polityczne powieści.

(Dok. nast.)

Jak moja ciotka Izabela została starą panną.

POWIEŚĆ

przez **Karolinę Reybaud.**

Gdym liczyła szesnastą wiosnę, moja ciotka miała już najmniéj pięćdziesiąt lat. Była to osoba, o któréj mówiono, że dawniéj musiała być piękną. Ale dziś — z téj rzadkiéj piękności już jéj prawie nic nie pozostało; liczne zmarszczki okrywały jéj twarz — niebieski kolor jéj ócz był zamglony — a jéj nos orli pochylał się niezwyczajnie ku ustom, z których wyglądało wprawdzie kilka białych zębów, ale czy w skutek lat, dosyć, że i te przydłużyły się znacznie. Jasne włosy spadające w lokach na ramiona, nie były jéj własnemi, ale chciała ona zachować tę modę z pierwszych lat młodości, podobnie, jak przechowywała swój czepeczek blondynowy, rurkowany kołnierzyk i fałdziste rękawy. Wyraz jéj twarzy był łagodny — często melancholiczny; mówiła mało, nie trudniła się nigdy opowiadaniem anegdotek, i zdawało się, że o przeszłości całkiem zapomniała. Po śmierci swéj matki, któréj była jedyném dziecięciem, zapragnęła z nami pozostać, lubo miała bliższych krewnych, a nawet jéj ciotka, pani de Prémarchais, żyła jeszcze. Była to już wiekowa dama, bardzo bogata, która mieszkała o kilka mil od naszego zamku.

Przyjaciele rodziny różnie sądzili o méj ciotce Izabeli; jedni powiadali: że dobrze ułożona, i że tytuł staréj panny nie czyni jéj śmieszną. Ci, którzy jéj bliżéj nie znali, mówili sobie na ucho: że ona musi być zagorzałą dewotką, albo że chowa w głębi serca jaką dawną miłość.

Co do mnie, kochałam tę ciotkę Izabelę, pomimo jéj postawy nieco sztywnéj, jéj rozmów niczém nieożywionych, jéj pomarszczonéj twarzy i jéj słabego i cienkiego głosu. Podczas, gdy moje siostry oddawały się pustocie i wesołości, ja wolałam pójść do méj ciotki; a usiadszy obok niéj w salonie, mówiłam jéj z powagą: „Ciociu kochana, czy słyszysz te hałasy i tę niepowściągnioną wesołość? Mama nie może ich uspokoić — a oto w téj chwili ojciec gromi je za te ciągłe dzieciństwa“. Na co ciotka odrzekła: „On powinien dziękować niebu, że mu dało dzieci tak roztrzepane i żywe — tak niezdolne do głębszego myślenia“.

— „Więc i ja mam być taką?“ zapytałam zdziwiona — „ach! moja ciociu, ty mi to za złe bierzesz, iż nie jestem już więcéj dzieckiem?“

— „Bynajmniéj“ rzekła, zniżając głos — „ubolewam tylko nad tobą“.

Ta uwaga była mi niezrozumiałą — nie śmiałam jednak żądać wytłumaczenia. Moja ciotka podjęła swą robotę, i haftowała pilnie, nie podnosząc oczu.

Około tego czasu zdarzyły się dwa wypadki w naszym domu: człowiek pewien zgłosił się o mą rękę — i moja matka postanowiła zaprowadzić mnie w przyszłym tygodniu na bal.

Po pierwszy raz więc miałam się ukazać w świecie. — Mój przyszły narzeczony nazywał się pan de Champarnie, i zamieszkiwał wielkie dobra około Paryża. Mówiono, że ojca swego utracił przed kilku miesiącami — a matka opuściła go, nim jeszcze mógł wymówić jéj imię. Teraz ujrzał się wśród świata samotnym, bez rodziny — a młodéj jego duszy uśmiechał się ponętnie ten świat i otwierał mu swoje powaby. Był wolnym — ale ta wolność zdawała mu się tylko smutném osamotnieniem — szukał wewnętrznego szczęścia i pragnął się ożenić. Nie podzielał nigdy zachceń swych młodych towarzyszów — pomagał im niekiedy sprostować i naprawić ich szaleństwa i usterki — ale

nigdy nie był ich wspólnikiem. Była to dusza szlachetna i z poświęceniem — umysł spokojny, pełen zdrowego rozsądku i zasad nieskrzywionych — zgoła, że był to zacny i uczciwy człowiek. Słuchałam tych objaśnień i tych pochwał z dosyć małą uwagą. Moja ciotka dobrze mówiła, iż stałam się poważną. Więcéj jednak zajmowała mnie myśl balu niż układy mego zamęźcia. Przed roztrzygnięciem téj rzeczy mój ojciec chciał, abym poznała pana de Champarnie. Przybył pewnego wieczora, gdyśmy byli zgromadzeni w kółku rodzinném — i ujrzałam człowieka dobrze wychowanego z pięknéin ułożeniem, o zwyczajnéj twarzy. Starał mi się przypodobać i zjednać sobie wszystkich. Ciotka Izabela patrzała na na niego w milczeniu, nie mówiąc nic jak zwykle — ale uważałam dobrze, iż zjednał sobie jéj przychylność.

Po jego odejściu pytała mnie mama, co myślę o p. de Champarnie?

— „Wcale nic“ — odrzekłam z otwartością. Uśmiechnęła się mówiąc: „Zobaczymy jeszcze — staraj się tylko pozbierać twe myśli i zastanów się nad tém pięć minut, a potém powiesz mi twe spostrzeżenia“. Pomyślałam trochę, a następnie z szczérością dziecięcą i z wialką powagą opowiadałam mamie, co sądziłam o p. de Champarnie — a mianowicie: że jest trochę niz kiego wzrostu, ale to nie szkodzi — co do jego powierzchowności, to zdaje mi się być przyjemnym — tylko znajduję, że ma włosy za krótko ucięte.

— „To da się łatwo poprawić“ — zauważyła moja matka.

— „Zresztą, zdaje mi się być dobrym i uprzejmym“. Moja matka była zadowoloną widocznie z téj odpowiedzi, a potém jeszcze dodała: „Ojciec twój dowiadywał się o stan jego majątku — wiedz zatém, że p. de Champarnie jest bardzo bogatym — przystajesz więc?“

— „Chętnie, moja mamo, jeżeli ci się tylko ten związek podoba“.

Potém rzuciłam się na szyję matki i zaraz dodałam, jakby nigdy nic: „Czy mamo obrałaś mi już kolor sukni balowéj?“

— „Różowy — ta barwa najlepiéj przystoi twemu wiekowi — twéj szesnastéj wiośnie; ale wracajmyż do rzeczy. Jeżelibyś też potém się zawahała — gdybyś też kiedyś żałowała twego postępku?... Pomyśl trochę — wszak jeszcze się nie stało“...

— „Nie, moja matko, przystaję chętnie na ten związek, bez przymusu — bez zadania sobie najmniejszéj przykrości — bądź tego pewną — moja mamo“.

Od tego dnia p. de Champarnie przychodził prawie każdego wieczora. Było to właśnie w pięknéj porze roku — wtenczas, kiedy słonko dłużéj u nas bawi — dnie były pogodne. W zamku bywało wiele gości; tańczono, bawiono się w gry — układaliśmy żywe obrazy; nigdy jeszcze tak dobrze się nie bawiłam. Ciotka Izabela widząc mnie tak wesołą, myślała, że zaczynam kochać p. de Champarnie, i pewnego razu rzekła do mnie z wyrazem przekonania: „Wielka to nieprzezorność szukać szczęścia w miłości... Sądzę jednak, iż nie będziesz żałowała — oddawszy swe serce; twój przyszły towarzysz życia, kocha cię szalenie — to rzecz niezaprzeczona“.

— „Tyś tego dostrzegła, moja ciociu?“ odrzekłam obojętnie; „co do mnie, nic nie wiem w tym względzie — nie uważałam zupełnie na to“.

— „Czyż podobna! więc ci twe serce nie mówi?“

— „Moje serce bardzo spokojne... nie byłabym może tak wesołą, gdybym kochała mego narzeczonego“.

— „Byłabyś może szczęśliwszą...“ wyszeptała z westchnieniem.

Te słowa zastanowiły mnie — udałam się na osobność, i zaczęłam pilnie rozważać, jaka jest różnica między uczuciami mojemi a uczuciami p. de Champarnie. Przekonałam się widocznie, że ani w najmniejszéj cząstce nie podzielałam jego miłości; nie posiadał on władzy rozbudzenia mój jeszcze śpiącéj duszy. Te myśli zajmowały mnie cały dzień — zebrałam wszystkie usiłowania, aby zrozumieć, co to jest miłość — ale nie przyszłam do żadnego rezultatu; w końcu stałam się roztrzepaną, pustą, każda błaha rzecz mnie zajmowała — i stałam się podobną do moich sióstr, które swawoliły od rana do wieczora.

Nadszedł wreszcie dzień tyle upragniony — dzień balu. Pan de Champarnie przyszedł po południu — był smutnym — interes ważny nie pozwolił mu towarzyszyć nam na bal, złożył mi bukiet z pięknych i drogich kwiatów, prosząc, abym go nosiła podczas téj świetnéj uczty, jako wspomnienie o nim.

Marszałek de B... zgromadził cały Paryż w swéj wspaniałéj rezydencyi letniéj; park gorzał rzęsistemi światłami — tańczono w ogrodach wśród pomarańczowych drzew. Wszedłszy — byłam olśnioną — uniformy wojskowe najwydatniéj odbijały śród tancerzy, tworząc harmonijny zlew z różnobarwnemi strojami dam, co jak fale tęczowe snuły się przy odblasku lamp; ubiory kilku panów cywilnych wyglądały jak czarne punkty na kryształowéj przeźroczy. Od téj chwili każden, kto nie nosił szlifów, wydał mi się mało znaczącą figurką, i życzyłam sobie, aby jaki oficer zaprosił mię do pierwszego kadryla. Wsparta na ramieniu mego ojca przechodziłam tłumy — nogi drżały podemną — policzki moje pałały — i zaledwo mogłam oddéchać. Tak szliśmy aż do miejsca, na którém mama kazała mi usiąść, w pierwszym rzędzie obok siebie. Zdawało mi się, że wszystkich oczy były na mnie zwrócone, że wszyscy dostrzegli moje zakłopotanie, moje drżenie i moją niepewność; — byłam bliską omdlenia. Powoli jednak przyszłam do siebie, spojrzałam na mój ubiór i nabra-

łam otuchy; moja różowa suknia odbijała pięknie, a moje białe rękawiczki nie miały ani jednego fałdzika. Wtém orkiestra zabrzmiała — uczułam lekkie drżenie — młodzież posuwała się ku damom; przez chwilę obawiałam się, że zostanę na miejscu — czułam, jak blednę i rumienię się na przemiany. W téj chwili jeden z wojskowych zbliżył się do mnie z ukłonem — wstałam i podałam mu rękę.

— „To wielki-książę! wielki-książę Teodor, który teraz zaczyna tańczyć! — szeptano około mnie.

Wielki-książę poprowadził mnie na środek sali, i kadryl się zaczął. Co się działo we mnie — nie zdołałabym wyrazić; — zaledwie mogłam rzucić ukradkiem spojrzenie na wielkiego-księcia — miał wyraz twarzy spokojny, uśmiechnięty i nieco dumny. Nosił uniform jenerała, gęsto złotem wyszyty — na piersiach miał mnóstwo orderów; byłam odurzoną — zapach kwiatów, blask świec, dźwięk muzyki, wprawiały mnie w usposobienie, jakiego jeszcze nigdy nie doznawałam. Na szczęście twarz moja nie zdradzała tych wzruszeń — byłam spokojną, uśmiechniętą, nieco bladą, i robiłam machinalnie kroki kadrylowe nie zmyliwszy się ani razu. Za każdą chwilą ręka mego tancerza dotykała z lekka méj dłoni, a wtedy uczułam jakby drganie w mém sercu. Raz rzekł mi akcentem niemieckim: „Ta zabawa czarująca — czy pani lubi bale?“

— „Bardzo“, odrzekłam — nie wiedząc co mówię nawet.

Tu się przerwał początek rozmowy — kadryl był skończony. Jednak miałam tyle czasu, aby mu się przypatrzyć — temu synowi królewskiemu, który mię swém zaproszeniem raczył zaszczycić. Był w wieku dojrzałym, ale bardzo miłych rysów: jego postać smukła, wysoka i nieco trzymał się pochyło — najpiękniejszym zaś z całego świata zdawał mi się jego rudo-blond wąsik. Doznałam wielkich wstrząśnień — w jednéj chwili czułam się szczęśliwą i lękałam się znowu — w głowie kręciło mi się, a moje drżące wargi nie zdołały słowa wymówić... ten kadryl, który wstrząsnął całém mém jestestwem, zdawał mi się naprzemian być wiekiem — i mgnieniem błyskawicy. Wielki-książę odprowadził mię na miejsce i skłoniwszy mi się głęboko, odszedł i — zniknął w tłumie... Mama okryła me ramiona koronkową zarzutką i szepnęła mi z cicha:

— „Pamiętałaś zapewne tytułować go Wasza Książęca Mość“.

Tańczyłam prawie całą noc — byłam w uniesieniu... jakiś szał opanował mnie... Dlaczego? nie wiedziałam. Przed samym odjazdem ujrzałam jeszcze wielkiego-księcia; przesunął się przed nami i ukłonił.

Gdyśmy już byli w powozie, ojciec spytał mię, czym się dobrze bawiła, nie odpowiedziałam nic — byłam nieruchomą. „Ona już śpi“, powiedziała moja dobra matka — „musi być bardzo zmęczoną“.

Nazajutrz byłam blada — złamana — i zaledwie odpowiadałam na pytania mych sióstr. „Powiedziałby kto, że nic nie pamiętasz z tego balu“ — zawołały rozgniewane — „musiałaś tam być jak figura z wosku. Ach! gdyby to nas tam byli zaprowadzili!“

Od tego dnia stałam się ponurą i mało udzielałam się komu — szukałam samotności — a wieczór, gdy całe towarzystwo się zgromadzało, musiałam zadawać sobie wiele pracy, aby pokazać się wesołą — lubiłam chwile, gdy mogłam zostać sama z sobą.

Pan de Champarnie przychodził tak często, jak i przedtém — nie pokazywałam mu żadnéj niechęci, ale byłam więcéj milczącą, wobec niego, jak i wobec wszystkich. Pewnego dnia rzekł do mnie jeden z naszych sąsiadów: „Wielki-książę, jak się zdaje, upodobał sobie nasze okolice, najął zamek de Saint-Herem dla siebie na mieszkanie aż do końca roku“.

Te słowa mnie zelektryzowały — natłok myśli cisnął się do méj duszy — zdawało mi się, że do tego gustu, który wielki-książę powziął do naszych dolin, i ja się trochę musiałam przyczynić. Wyobrażałam sobie w niepewności wielkiego-księcia, gdyby do zamku naszego przyjechał z wizytą, i coby mi powiedział, spotkawszy na przechadzce. Roiłam sny dziwaczne — zmysły mi się mięszały... Bez ustanku marzyłam o kimś, czyjego imienia nie wymówiłam jeszcze nigdy — i czyja postać przedstawiała mi się, jakby na tle zamglonego nieba. Wtenczas dopiero stałam się zupełnie poważną — tak byłam zatopioną w moich tajemnych dumaniach, że wszyscy spostrzegli moje zamyślenie; ale któż mógł odgadnąć przyczynę?...

P. de Champarnie przychodził zawsze! I myślano o przygotowaniach do mego wesela — a matka moja zajmowała się wyprawą!...

Ciotka Izabela, z którą teraz jeszcze więcéj spędzałam chwil, stała się bardziéj milczącą, i podczas naszego długiego sam-na-sam rozmawiałyśmy o rzeczach zupełnie obojętnych, jakbyśmy się obawiały tykać téj delikatnéj materyi, zwłaszcza, co do mojéj przyszłości. Już było prawie ułożone, że ślub mój miał się odbyć za sześć tygodni, albo za dwa miesiące, albo téż na początku jesieni, właśnie w czasie wielkiego polowania, z powodu którego wielki-książę Teodor najął zamek de Saint-Herem. Już przygotowano pokoje na jego przyjęcie.

Tymczasem ojciec mój uwiadomił rodzinę naszą listownie o moim wkrótce odbyć się mającym związku, i odbierał nawzajem listy z powinszowaniami. Zwykle te listy przychodziły podczas śniadania, i przed odejściem od stołu mój ojciec czytał je nam głośno. Często byłam już bliską utracenia zmysłów — czułam, jak mię siły opuszczają — i chciałam już wołać na ciotkę Izabelę, chciałam jéj powiedzieć: „I ja zrobię jak ty, nigdy nie pójdę za mąż“...

c. d. na końcu Tomu

Pewnego dnia, pani de Prémarchais, ta stara krewna, u któréj ciotka Izabela nie chciała mieszkać, przybyła bez poprzedniego zgłoszenia. Na pierwszy widok zdawała mi się nie o wiele starszą od swéj siostrzenicy. Uściskawszy nas wszystkich po kolei, rzekła do méj matki:

— „Zamiast pisać, przyjechałam sama — czyż tak nie lepiéj? Chcąc pisać, trzebaby mi było wkładać dopiero moje okulary, a to rzecz nieznośna! Wreszcie, listownie nie mogłabym wam tak dobrze wyrazić mojéj uciechy, z powodu téj miłéj nowiny".

Potém rzuciwszy wzrokiem wkoło siebie, zapytała: „A gdzież nasza bohaterka?"

— „Oto tu", rzekła moja matka, wskazując na mnie.

Pani de Prémarchais kazała mi usiąść obok siebie, i przypatrywała mi się uważnie w milczeniu; potém wzięła mą głowę w swe ręce i uściskawszy mnie serdecznie, rzekła półgłosem:

— „Ta mała nie wygląda wesoło — czyto myśl małżeństwa tak ją zastrasza?"

— „O tak — pani" — rzekłam cicho, tak, że tylko ona mogła mnie słyszeć.

— Ścisnęła mą rękę i spojrzała na mnie — a ten wzrok zdał się mówić: „Bądź spokojną". — A potém wziąwszy mą matkę, kazała się zaprowadzić do przeznaczonych jéj pokojów.

Tam rozmawiały dość długo, i dowiedziałam się potém, że żądała od méj matki dokładnego rachunku z wszystkich układów tego małżeństwa, którém nie bardzo zdawałam się być zachwyconą.

— „Zaręczam pani, że ona dała chętnie swoje zezwolenie" — rzekła moja matka kończąc opowiadanie — „ona wié dobrze, iż p. de Champarnie ją uszczęśliwić pragnie — i w tém przyznaje mu słuszność. Lubo dostrzegłam, że nie zdołał jeszcze obudzić jéj serca; w jego towarzystwie nie znajduje ona ani upodobania, ani przyjemności — tyle, że go znosi, i nic więcéj.

— „Nie ma więc ani cienia żadnego przywiązania! Dlaczego? Trzeba to zbadać", mówiła ta zacna kobieta — „muszę z nią mówić — chciéj mi ją pani przysłać z ciotką Izabelą, i zostaw nas same".

Gdy weszłam w towarzystwie ciotki Izabeli, pani de Prémarchais rzekła do nas wesołym tonem: „Usiądźcie tu, moje dzieci — będziemy trochę gwarzyć. Przed chwilą młoda narzeczona była tak smutną — a teraz zdaje mi się być blizką płaczu — dlaczegóż to?"...

Nie miałam zaraz odwagi do odpowiedzi — a może i nie wiedziałam, co mówić — przyłożyłam tylko chustkę do ócz i w niemej boleści — milczałam. Ciotka Izabela wzruszona, patrzyła na mnie, chcąc mi niejako dodać odwagi — ale widząc, że zostałam nieporuszoną, wyszeptała z westchnieniem:

— „Biedna mała, sama nie wié jasno, czego płacze — a jabym jéj nie chciała powiedzieć"...

— „Więc ty wiesz, moja ciociu?" rzekłam, spoglądając ku niéj przez łzy. Potrząsała głową z politowaniem, i zaczęła, zwracając się do pani de Prémarchais: „Julija nie otworzyła mi nigdy swego serca, choć wié, że kocham ją tkliwie, i że zachowałabym tajemnicę; ale nacóż rozbudzać niebezpieczne zwierzenia?— naco — mój Boże! napawać tę młodą duszę rozczarowaniem miłości bezrozumnéj?... tak — bezrozumnéj, moja Julijo... nie ma innego słowa dla określenia téj miłości, od któréj niczego oczekiwać — niczego spodziewać się nie możesz"...

— „Ach! moja mała, bo tu się o miłość rozchodzi" — przerwała pani de Prémarchais.

Ta przenikliwość mojéj ciotki Izabeli zmięszała mnie — i wyjąkłam ledwie zrozumiałym głosem: „Ja nie pojmuję — nie wiem, czy ja kocham — jednak nie chciałabym zostać żoną pana de Champarnie. Dla czego? nie mogę sobie wytłumaczyć"... I łkając, załamałam ręce w rozpaczy, a zacna pani starając się uspokoić mnie, zawołała:

— „Jakto! więc twoje serce na tę zabłąkało się drogę?... I przez cóż to dałaś się uwieść tému uczuciu, moja Julijo! Więc sądzisz, że jesteś kochaną wzajemnie i spodziewasz złączyć się z tym, którego kochasz?... Chcesz zostać jego żoną?...

Żywo potrząsłam głową na znak zaprzeczenia. — „Jakto! więc sama nie wiesz, moje dziecię, czego pragniesz?"... rzekła łagodnie; „cóż więc powiesz na wytłómaczenie twéj odmowy?"...

Ciotka Izabela patrzyła na mnie z żywém współczuciem i litością: nagle zawołała: „Ciotko, opowiedz jéj moją historyję"! to rzekłszy, wyszła spiesznie z pokoju, i słyszałam jak się zamknęła u siebie.

„Pójdź tu moje lube dziecię, usiądź przy mnie — i słuchaj", rzekła sędziwa dama — „opowiem ci o rzeczach, których nikt się nie domyślał nigdy — nawet w rodzinie — jest to wprawdzie dziwna powieść — prawie nie do uwierzenia, ale któréj byłam naocznym świadkiem".

Zamyśliła się chwilę — rysy jéj twarzy przyodziały się w powagę.

— „Biedna Izabela"... rzekła cicho — z westchnieniem, i zaczęła następujące opowiadanie:

(Ciąg d. n.)

Dumki moje.

I.

Niby skowronek dźwięczny na wiosnę
Zaczynam nucić piosnki radosne.

Niby pacholę z chaty wieśniaczéj
Nucę i proszę, kto słuchać raczy.

Pięknym jest kwieciem ziemia zasłana,
Lecz najpiękniejsza moja kochana!...

Ona jak lilja, jakby fiijołek,
Śliczna i skromna — istny aniołek.

Aniołki boże w niebie być mają,
Lecz i na ziemi widzieć się dają.

Jak gwiazdki duże i dniem i nocą,
Oczy niebieskie ku mnie migocą.

Patrzę się, patrzę, zkąd ten blask płynie,
Że mi tak jasno w myśli i w czynie.

Moja dzieweczka świeci oczyma,
Że z słońca blasku równego nie ma.

Świeć mi tak zawsze błagam Cię oto —
A w ogień, w wodę pójdę z ochotą.

Życie położę w każdéj potrzebie —
Byle dla kraju, byle za Ciebie!

Feliks R.

O MUZYCE

przez dyletanta.

. . . .
I gram na gwiazdach, jak na szklannych harmoniki kręgach.
(„Dziady", Część III.)

(Muzyka włoska. — Muzyka niemiecka. — O muzyce u nas słów kilka).

Mam mówić o najwznioślejszéj, najmniéj zmysłowéj sztuce, przez którą dusza wprost wypowiada swoje uczucia i namiejętności.

Śmiech i płacz, krzyk boleści i zgrozy, okrzyk radości i rozpaczy, te głośne objawy zbolałéj lub radującéj się duszy, muzyka idealizuje, ubierając je w dźwięczne tony, a łącząc takowe zgodnemi akordy, tworzy z nich melodyą, poemat muzyczny na podstawie harmonii, będącéj koniecznym warunkiem każdego muzycznego utworu.

Poczęta z natchnienia chwili melodya, jak Minerwa z głowy Jowisza, wybiega cała skończona z twórczego łona artysty, a jedynie zaokrąglenie i przystrojenie jéj dziewiczych kształtów, jest rzeczą namysłu, stósującego prawidła harmonii, instrumentacyi i dobrego smaku do wykończenia dzieła.

A skoro melodya jest bezpośrednim płodem natchnionego uczucia, to téż i uczucie muzykalne, ten tak zwany zmysł muzykalny, musi być właściwością, przymiotem szczególnym ludzi i narodów silniéj czujących.

Prawdę tę stwierdza doświadczenie, bo któryż naród wydał więcéj mistrzów w dziedzinie muzyki od narodu włoskiego. Ojczyzna wielkich wieszczów, wielkich mistrzów, pędzla i dłuta, nie poskąpiła światu także arcymistrzów muzyki.

Każdy Włoch to śpiewak i kompozytor z urodzenia. Cudna, złotymi-promieniami słońca tak pogodnie rozjaśniona, uśmiechnięta przyroda, wywołuje z rozradowanéj piersi tego ludu owe natchnione, urocze, pełne wdzięku melodyje, w które wsłuchawszy się jakiś mäestro wije z nich, jakby z kwiatów polnych, jeden wielki wieniec melodyj.

Jak w poezyi dramat, tak w muzyce opera jest ostatnim szczeblem rozwoju, ostatnim wyrazem sztuki. O tyle jednak opera przewyższa dramat, że składają się na nią dwie sztuki piękne, poezyja i muzyka wspomagając się wzajemnie i zdwajając wrażenie.

Muzyka dramatyczna, śpiew dramatyczny, to pole, na którem przeważnie królu je naród boskiéj Italii.

Któż nie zna tych gwiazd jaśniejących na horyzoncie muzykalnym Włoch, któż nie zna Belliniego, Rossiniego, Donizettego, Verdego i tylu innych.

Muzyka ich łatwa a tak urocza. Twórcą jéj gwałtowne, pochamować się nie dające uczucie i płomienna namiętność mieszkańców południa, odtwarzająca się na zewnątrz silnemi, najobojętniejszą naturę wzruszyć zdolnemi wdziękami. Jak wszelki czyn, którego pobudką serce, a nie zimna rozwaga i namysł, sam siebie tłómaczy, tak i muzyka Włochów tryskając z przepełnionego uczuciem serca, nie obmyślana głęboko, jest zrozumiałą każdemu i zachwyca świat cały.

W drugim rzędzie obok Włochów, a pod pewnym względem może wyżéj od nich na widnokręgu muzycznym, stanął naród odmiennego zupełnie od nich usposobienia, bo nie odznaczający się tyle gorącém uczuciem, jak raczéj rozwagą, namysłem i spekulacyjno-filozoficznemi dociekaniami: naród niemiecki. Zdawałoby się, że naród ten nieprzystępny porywom uczucia, natchnieniom muzykalnym, więcéj duchem niż duszą, więcéj myślą niż uczuciem żyjący, a jednak pod tą pokrywą, jak pod białym popiołem tli głębokie choć ciche, melancholiczne, rozmarzone uczucie, które jeno rozbudzić, ośmielić i wywabić z ukrycia miały namiętne tony italskiéj muzyki, aby rozpłakać się mogło w rzewnych dźwiękach, niby łzach bolejącego serca.

Klasyczna muzyka Niemców, to cicha melancholiczna siostra muzyki włoskiéj. Podczas, kiedy ta ostatnia szuka silnych wzruszeń w wstrząsających światem płomiennych namiętnościach, téj wystarcza cicha ustroń wiejska, rozrzewnia ją blado-srebrny blask księżyca, opromieniający wędrujące smutnie po niebie obłoki, cicho szemrzący zdala strumyk, kołysane wiatrem brzozy lub ciche gwiazd na niebie rozmowy.

Wsłuchawszy się w tę uroczą grę natury, tonie w niéj zczarowane serce niemieckich mistrzów i równie uroczo, skromnie, z pełném podziwu, pełném uwielbie-

nia namaszczeniem, wyśpiewują oni srebrnemi tony otrzymane wrażenia.

Sebastian Bach, Haydn, Mozart, Bethoven — a z nowszych: Schuberth, Mendelsohn, Schumann — oto przedstawiciele tych rzewnych a cichych aspiracyi serdecznych. Sonaty ich, pieśni ich, to duchowe obrazy, z całém bogactwem barw i głębokością perspektywy.

Zbadali oni dokładnie i przeczuli swym geniuszem wszelkie zewnętrzne łączniki wiążące serce ludzkie z przyrodą, ocenili ich wpływ wzajemny i z całą subtelną, wiernie najlżejszy odcień uczucia malującą prostotą, odmalowali tonami. Utwory ich to poemata liryczne najczystszéj wody. Rzewna ta muzyka, nie znalazła bez wątpienia tylu miłośników, co rozgłośna, świetna, całe bogactwo kolorytu italskiego nieba odzwierciedlająca w sobie muzyka Włochów. Bo téż muzyka niemiecka jako objaw więcéj w sobie zamkniętéj rozmarzonéj duszy melancholicznego narodu, nie jest tak przystępną, jak uśmiechająca się do wszystkich i szczerze i otwarcie ze wszystkich swych uciech i boleści spowiadająca się muzyka Włochów.

Przytém mistrz niemiecki wzruszony pewném uczuciem, zanim oblecze je w szatę najlepiéj malującéj je melodyi, zanim wcieli je w słyszalną mowę dźwięków, stara się przedewszystkiém o taką poprawność i przejrzystość konturów, o taką prostotę i logiczność przeprowadzenia przewodniéj myśli o taką plastyczność swego utworu, żeby on najwierniéj odbijał uczucie przedstawić się mające.

Przeciwnie mistrz włoski, jeżeli podzieli się ze światem nowém jakiém dziełem swoich natchnień muzycznych, to czyni to jak ojciec rozmiłowany w rozpieszczoném swém dziecku, który zanim wypuści je między ludzi, stara się je wystroić we wszystkie ubiory i świecidełka, na jakie zdobyć się mógł dla ukochanego dziecięcia, aby się tą „dumą swoją“ przed zdziwionym światem popysznić.

Ztąd to muzyka włoska olśniewa słuchającego całą świetnością bogatéj koloratury, wszystkiemi złudnemi fioriturami, pod któremi niestety nieraz kryje się całe ubóstwo formy, cały niedostatek instrumentacyi i harmonii, które stanowią znów tak wielką zasługę muzyki niemieckiéj. Muzyka niemiecka pod względem znajomości harmonii i instrumentacyi i staranności w gruntowném obrobieniu całości przewyższa o całe niebo muzykę włoską.

* * *

Dziwném zrządzeniem losu naród nasz, tak uczuciowy, tak pełen uzdolnienia do wszystkich sztuk pięknych, a w szczególności do muzyki, w ogóle tak mało oddaje się pielęgnowaniu téj sztuki, a jeżeli wielu z nas nią się zajmuje, to więcéj dla rozrywki, dla zabicia czasu, dla dogodzenia próżności, chęci błyszczenia i popisania się z pięknym talencikiem i świetną edukacyą. Uczymy się gry na pewnym instrumencie, tak jak się uczymy języków francuzkiego lub angielskiego najczęściéj bez zamiłowania, lecz z musu, dla zadosyćuczynienia przyjętemu zwyczajowi i dla tego nie miłując przedmiotu naszéj nauki zapominamy o niéj tak prędko, jak prędko ustaje konieczność jakiego takiego jéj wyuczenia się.

Młodzian popisawszy się dostatecznie we wszystkich znajomych domach z kilku co najwięcéj wyuczonemi na pamięć koncertami Beriota, a panna z jakąś po tysiąc razy ograną Galopadą di bravoura Schulhofa wstępują po niejakim czasie w związki małżeńskie i pierwszy zawiesza na kołku skrzypce, a druga zamyka fortepian i bożek miłości śpiewa nad biednemi wysłużonemi instrumentami smutne *„requiescant“*, z którego budzą się dopiero rozstrojone po wielu latach, gdy jegomość, nie mogąc się oprzeć prośbom znajomych, na jakiéj herbatce tańcującéj zmuszony jest zaintonować z towarzyszeniem wtórującéj mu na klawikorcie żony, jaką dawno już zapomnianą polkę lub mazura, który młode nogi jego zachęcał do tańca.

W ogóle prawdziwéj znajomości i zamiłowania rzeczywistego muzyki u nas mało; nie mówimy tu już o znajomości jéj klasycznych mistrzów, ale i znajomości nowszych przedstawicieli, tak zwanéj muzyki salonowéj, nie wiele. Jakże rzadko słyszeć można kompozycyje: Schubertha, Schumanna, Webera lub naszego nieśmiertelnego Chopina. Natomiast rozbijamy się za Schulhofem Goryą, Willmersem, Jaellem — i czynimy ostatnie wysilenia, aby się wyuczyć choć najdrobniejszego utworu Liszta.

Znałem młodego człowieka uzdolnionego do muzyki, którego należało jedynie stósownie pokierować, aby talent jego piękne przyniósł owoce, ale niestety, żył on w czasie, kiedy arcymistrz w sztuce władania fortepianem, lubo nie w sztuce kompozycyi, ubóstwiany i na rękach noszony Lisst stał na zenicie swéj sławy.

Młodemu początkującemu uczniowi gry na fortepianie, którego zamiłowanie do muzyki udzielaniem mu melodyjnych a łatwiejszych w wykonaniu utworów rozbudzić i pojęcie jego o właściwym celu muzyki w ten sposób rozwinąć należało, dawano miasto tego coraz trudniejsze w wykonaniu, świetne jak meteory, lecz jak meteory przemijającéj wartości utwory Liszta, ani do pojęcia, ani do dotychczasowéj mechanicznej wprawy jego niestósowne.

Litość brała słysząc owego młodzieńca grającego taką fantazyją z don Juana lub Wilhelma Tella; fortepian trzeszczał, palce biegały jak telegramy, tam i napowrót, a kiedy skończył obficie zroszony kroplami potu, siedzący jak na torturach słuchacze, zmuszeni powstrzymywać wszelkie oznaki niezadowolenia przed czujném okiem rodziców, oddychać poczęli wolniéj.

Młodzieniec zmęczony podobnemi forsownemi nad wiek i siły jego ćwiczeniami, nie znajdując odpowiedniego uczuciu swemu żywiołu w praktykowanym przez siebie rodzaju muzyki, zużywszy za prędko swe zdolności, zmęczony i zniechęcony porzucił zupełnie muzykę, która pod stósowniejszym kierunkiem byłaby znalazła w nim jednego z najwierniejszych swych wyznawców.

Przypadek ten nie jest tak pojedynczym, jakby się zdawało; sztuka bowiem u nas po większéj części pojmowaną jest jako sztuczka, brawura popłaca niezwykle, popłacają łamane sztuczki, mechanika. Spokojny, poważny pociąg smyczka, delikatne dotknięcie klawisza, perłowy bieg tonów, tak pięknie malujący ciche rzewne uczucie, nie zwróci na siebie uwagi, ale audito, rium trząść się będzie od oklasków na widok skrzypka grającego na jednéj strunie, wyciągającego subtelne, choćby niezupełnie czyste flageolety, wprawiającego w podziw szybkim staccato lub zamaszystemi pasażami. Podziwiamy to, co najmniéj rozumiemy.

Nie chcemy twierdzić, aby u nas w ogóle nie było poczucia muzykalnego. Że naród nasz ma to poczucie, to świadczą pieśni naszego ludu, świadczą hoże Krakowiaki, smętne dumki ukraińskie, świadczą melodje tańców narodowych, wspaniałych polonezów i dziarskich mazurów. Melodye te wykołysały nam naszego nieodżałowanego Chopina, i odzywają się tęsknie z wielu jego utworów.

Każda ważniejsza u nas epoka miała swoją pieśń, swoje echo w muzyce, swoje hasło. — Jak marsylianka u Francuzów, tak u nas była pieśń „trzeciego maja“, czterdziesty szósty rok odezwał się hymnem Jeremiego, a ostatnie lata słyszały modlitwę *„Boże coś Polskę“*.

Gdzie śpiew zdołał tak silnie objawiać uczucia narodu i znaczyć jego pochód dziejowy, tam stał on się potrzebą, osłodą i rozkoszą żywota, o takim narodzie twierdzić nie można, iżby mu brakowało poczucia muzykalnego.

Brakuje nam tylko szkół muzycznych, któreby to uśpione chwilowo poczucie i zamiłowanie muzyki obudzić i mających krzewić to zamiłowanie apostołów wychowywać mogły.

Dla tego uznajemy i uznawać będziemy wszelkie w tym kierunku przez osoby prywatne, a mianowicie przez towarzystwa łożone usiłowania, spodziewając się, że wykształcona powszechność usiłowania te uznać i popierać zechce.

Dla tego podnieść na têm miejscu musimy przedewszystkiém urządzane obecnie przez Kasyno literacko-artystyczne w Krakowie wieczory muzykalne i otworzoną przez towarzystwo „Muzy“ szkołę muzyczną.

Jak wspomnionych wieczorów celem jest zaznajomienie lubowników muzyki z muzyką poważniejszą, mianowicie z klasyczną muzyką niemiecką, tak zadaniem szkoły: wykształcenie zdolnych wykonawców. Oba przedsiewzięcia starają się zaradzić uczuwanemu powszechnie brakowi, a samo to usiłowanie jest już ze wszechmiar chwalebném i godném uznania.

Jaki brak u nas ludzi zawodowo w muzyce wykształconych, tego najlepszym dowodem miasta nasze liczące się do najznaczniejszych w kraju, które nawet na jaką taką z własnych rodzimych sił złożoną orkiestrę teatralną zdobyć się nie mogą. Wyłączmy muzykę wojskową, którą się teraz powszechnie posługują w teatrze i na koncertach, wyłączmy członków dawnéj milicyi krakowskiéj, nawiasem mówiąc cudzoziemców — a nie wiem, czy z kilku pozostałych rodzimych muzyków choćby jaki taki sextet złożyć będzie można.

Dla tego nie możemy jak tylko najgoręcéj zachęcić światłą naszą publiczność do jak najusilniejszego popierania dwóch wzmiankowanych przedsiewzięć.

TEATR. Fanatyzm teatralny. — Zborowscy. — Talent i dyjamenty. — Samoluby. — Imitacyja piękne Heleny. — Panna Fischer. — Sceny z kuchni i rynku. — Szopki.

Aby być wiernym tłumaczem opinii publicznéj, należałoby nam dzisiaj pisać nie o sztukach, ani o grze artystów, ale wyłącznie o pani Modrzejewskiéj i tylko o pani Modrzejewskiéj; publiczność bowiem nie szuka teraz na afiszach tytułów nowych sztuk, patrzy tylko czy p. M. występuje — a wtedy pędzi każdy do kasy teatralnéj, gdzie bilety prawie szturmem zdobywać sobie trzeba, a ten, co dawniéj był przyzwyczajony dopiero koło szóstéj wieczorem namyślać się czy iść, czy nie iść do teatru, dziś nawet na galeryi nie znalazłby o tym czasie wygodnego kącika. Każde przedstawienie jest nowym tryumfem dla artystki; mniejsza o to czy ma wielką, czy małą rolę, ręce publiczności raz w ruch wprawione, biją oklaski za każdém jéj wystąpieniem. — Tryumfy te artystka zawdzięcza Warszawie. Boć wszakże kilka miesięcy przedtém taż sama artystka w tych samych sztukach u nas występowała, i nie tylko nie trzeba było usuwać muzyki z orkiestry dla pomieszczenia tłoczącéj się publiczności, ale nawet nieraz dosyć pustych miejsc naliczyć można było. Znaliśmy jednego małżonka, który pomimo to, że miał piękną żonę, zaniedbywał ją i był dla niéj obojętny; dopiero kiedy wszedłszy w liczniejsze towarzystwa, widział ją otoczoną rojem wielbicieli, kiedy się nasłuchał szeptów pochwalnych, obudzała się w nim szalona zazdrość, uprowadzał coprędzéj żonę z przed oczów ludzkich, a wróciwszy do domu, całował ją, pieścił i zachwycał się nią ze dwa tygodnie. Potém stygnął i znowu trzeba było nowych pochwał obcych ludzi, by obudziły w nim uśpioną czułość. Publiczność krakowska bardzo przypomina nam tego małżonka. Trudno bowiem przypuścić, aby talent p. M. przez parę miesięcy spo-

tężniał tak, jak zapał dla niéj publiczności. Nie można zaprzeczyć, że pobyt w Warszawie nadał pewności jéj grze; że zapał publiczności oddziaływa bardzo na grę artystki, ale któż temu winien, że ten zapał wcześniéj nie rozpoczął swego elektrycznego działania? — Dziś chcąc wynagrodzić przeszłość publiczność wpadła w szał, w przesadę, w fanatyzm prawie i z opuchniętemi rękami wychodzi z teatru. Niczém już dla niéj gra innych artystów wyrównywujących talentem pani Modrzejewskiéj — sami sobie winni — czemu nie byli w Warszawie. Obawiamy się, by artyści nasi zmuszeni przez publiczność do szukania sobie gdzieindziéj listów rekomendacyjnych dla swego telentu, na dobre nie wyemigrowali z Krakowa za p. Modrzejewską, zostawując drugorzędnych artystów na pastwę naszego umiarkowania.

Robiąc tę małą uwagę, nie chcieliśmy wcale ujmować laurów pani M., owszem, należymy do jéj stałych ale nie zaślepionych wielbicieli. Gra jéj w „Maryi Stuart“, szczególniéj w akcie III., w chwili łamania się godności królowéj z pokorą, na długo zostanie nam w pamięci, ale nie mogliśmy przyklasnąć grze jéj w akcie IV. „Barbary“, gdy odwodzi Zygmunta od zbrojnego wystąpienia przeciw rokoszanom. Kobieta, która kocha, nie przemawia tak do przedmiotu swéj miłości. Była to piękna deklamacyja wzięta osobno; ale w związku ze sztuką grzeszyła brakiem prawdy i takiéj Barbarze Zygmunt nie byłby posłusznym. Również nie podzielamy zapału publiczności w „Zborowskich“. Tu już wina była po stronie autora, który Gryzeldzie wyznaczył tak małą, bezbarwną i nieokreśloną rolę, że tylko taka artystka jak pani M. zdołała uczynić się w téj roli widoczną w oczach publiczności, zajętéj tego dnia nie tyle sceną ile szacowaniem brylantów, obciążających głowę i szyję jakiejść potomkini Zborowskich, na uczczenie któréj daną była ta sztuka.

Benefis panny Śliwińskiéj wyrwał nas na chwilę z zaczarowanego koła, w jakiém nas trzyma talent p. Modrzejewskiéj i obdarzył nową komedyją p. t.: „Samoluby“ pp. Sardou i Labiche. Jeżeli „Benoitony“, „Nasi najserdeczniejsi“, „Starzy kawalerowie“ są dla naszéj publiczności za przedwczesne nieco, a tém samém mniéj zrozumiałe, to „Samoluby“ zyskały u nas od razu prawo obywatelstwa, i osoby komedyi witaliśmy jak starych znajomych naszych. Sąto bowiem samoluby najrozmaitszych gatunków, autor odszukał ich starannie, skarykaturował nawet nieco, by ich lepiéj uwydatnić i wprowadził w akcyę sceniczną. Przeprowadzenie jest podobne do innych komedyj Sardou. Nie ma tu wielkich zawikłań, osoby komedyi idąc na oślep za swemi namiętnościami, upodobaniami, zderzają się, potrącają o siebie, ztąd wywięzują się chwilowe zawiklania, kolizyje, z których główny bohater wychodzi okryty śmiesznością, pobity swoją własną bronią. Tak spekulanta pokonywa i upokarza zimne wyrachowanie, człowiekowi ubiegającemu się za przyjaciołmi, dają gorzką naukę właśnie jego najserdeczniejsi — a w ostatniéj komedyi samolub ukarany jest przez samolubstwo drugich.

Tym samolubem jest p. Dutrecy (Rapacki) wygodniś, smakosz, pielęgnujący starannie swoje ciało, swój żołądek. „Dobrze się konserwować“ — to cel jego życia. Lubi przy tém uchodzić za porządnego, poczciwego i uczuciowego człowieka, o ile to nie nadweręża jego kieszeni, zdrowia i upodobań. Opiekuje się jakimś siostrzeńcem swoim i jakąś siostrzenicą, a że to są ludzie z majątkiem, którzy od nikogo nic nie potrzebują, więc pan Dutrecy tanim kosztem, a raczéj bez kosztów zyskuje nazwę dobrego stryja; owszem, ciągnie z tego niejakie korzyści, bo prawdziwe hawańskie cygara, które mu synowiec marynarz przywozi ze swoich podróży. Totéż na wiadomość o jego niebezpiecznéj chorobie samolub rozczula się i żałuje synowca i cygar hawańskich. Siostrzeniec jednak wraca zdrów (Armand, grał go pan Benda) i opowiada stryjowi swemu, jak kapitan okrętu jednego Francuza, który zachorował na żółtą febrę, z obawy rozszerzenia się choroby kazal wysadzić na odludną wyspę, jak on (tj. Armand) nie mógł znieść tego okrucieństwa i dobrowolnie został na wyspie dla pielęgnowania chorego, który teraz powrócił z nim zdrów do Francyi i jest jego najserdeczniejszym przyjacielem. Następnie wypytuje stryja o swoją kuzynkę Teresę, którą zostawił na pensyi, a w któréj kochał się jeszcze studentem. — Teresa staje się nie małym kłopotem dla p. Dutrecy, bo właśnie oświadczył się o nią Jerzy, majętny młodzieniec; potrzeba więc pannę wziąść z pensyi, zająć się wyprawą, zaproszeniem, jezdzić do księdza, notaryjusza. Pana Dutrecy przestrasza to, opieka poczyna mu ciążyć; szczęściem, że siostra Jerzego młoda wdówka (panna Śliwińska) i jéj ojciec Fromental (p. Wolski) biorą te czynności na siebie. P. Dutrecy ze swojéj strony zdobywa się na to poświęcenie, że pozwala, aby jego siostrzenica przez dwa tygodnie bawiła u niego, uprzedza ją jednak pierwéj o swoich upodobaniach, zwyczajach, by się do nich zastósować chciała i nie psuła mu raz ułożonego porządku. — To stanowi ekspozycyją komedyi. Wchodzi w jéj zakres jeszcze mała operacja finansowa. Oto Dutrecy i znajomy jego Porcheraie dowiedziawszy się o zamiarze przeprowadzenia nowéj ulicy starają się kupić małą posiadłość w tych miejscach od doktora Fourciniera, by na niéj zarobić krocie.

Ekspozycyja ta trwa do połowy pierwszego aktu, odtąd zaczyna się ruch. Armand wita się z ocalonym przez siebie Francuzem, obadwaj zwierzają się sobie ze swych miłości i pokazuje się, że obadwaj kochają się w jednéj, tj. w Teresie, bo owym przyjacielem Armanda jest właśnie Jerzy. Armand chce się poświęcić

dla swego przyjaciela i odjechać do Ameryki, Jerzy chce zrobić ze swojéj miłości ofiarę dla Armanda i zrzeka się ręki Teresy. Pan Dutrecy chętnie przystaje na to. Zkąd ta zmiana? Oto Dutrecy kawaler 56cio letni zakochał się w swojéj siostrzenicy ośmnastoletniéj i postanowił się z nią ożenić, a to dla lepszego zakonserwowania się. „Będzie mnie pielęgnować, usługiwać mi, jeść ze mną razem, co podnosi apetyt, wesołość jéj sprawia mi dobry humor, co jest koniecznym warunkiem zdrowia". Tak rozumuje zakochany grzyb i poczyna umizgi do pensyjonarki.

Tymczasem Armand po bliższém poznaniu kuzynki na dobre rozczarował się do niéj. Teresa jest także samolubek w swoim rodzaju — lubiła kuzynka, bo jéj nosił na pensyję cukierki, kocha Jerzego, bo majątek jego zapewnia jéj bale, powozy, koronki i atłasy, za któremi przepada; wreszcie pochlebia i nadskakuje staremu Dutrecy, by jéj nie odesłał na pensyję. To było dostatecznem, aby idealnego Armanda rozczarować, zwłaszcza, że w tym czasie poznaje kobietę stojącą na odwrotnym biegunie i szalenie się w niéj rozkochał. — Jestto siostra Jerzego. Armand spowiada się Jerzemu z tego uczucia i radzi mu wrócić do Teresy. Ale stary Dutrecy nie chce zrzec się tak przyjemnéj rzeczy jak jest małżeństwo z Teresą. Samolubstwo przychodzi tu w pomoc i rozwięzuje węzeł. Oto doktór Fonurnier dowiedziawszy się od Jerzego o projekcie ulicy mającéj iść przez jego posiadłość oburza się na samoluba, który go chciał podejść i pomaga Jerzemu w ten sposób, że niby od niechcenia wspomina Dutrecowi o chorobach, jakie znalazł u Teresy po dokładném zbadaniu jéj stanu zdrowia. Samolub, który w małżeństwie szukał tylko sposobów zakonserwowania swego zdrowia, cofa się natychmiast i maskując swoje samolubstwo poświęceniem, łączy Jerzego z Teresą. Szczęście robi zakochaną parę samolubną — jest to samolubstwo miłości. Myśląc tylko o sobie, opuszczają bez żalu kochanego stryja; toż samo robi Armand połączony z siostrą Jerzego. Staremu samolubowi zaczyna się robić tęskno za towarzystwem, zwłaszcza, że nie zadługo opuszcza go służący dla korzystniejszéj służby, a w końcu jego wspólnik i znajomy Procheraie. Dutrecy zostaje sam i z goryczą woła: to samoluby!

Tak się kończy sztuka, któréj przez cały ciąg widz przypatruje się z ciągłém zajęciem. Niesmaczną tylko i niezręcznie przylepioną jest figura służącego, który w szkole samoluba pozbywa się wrodzonéj poczciwości i prostoty. Przemiana ta zanadto surowo jest przedstawioną. Również figura Procheraia lubo wyborną grą pana Nowakowskiego ożywia sztukę, jest zbyteczną, jak i cała spekulacyja finansowa. Jest to wsunięty epizod, lubo nie bez zalet. Panowie Rapacki i Nowakowski stoją rolami swojemi i grą na pierwszym planie w téj sztuce, a scena w akcie piątym, gdy obaj samoluby zwierzają się sobie z kłopotów swoich, i każdy z nich chcąc myśleć nad położeniem drugiego, przez samolubstwo schodzi na siebie i o sobie tylko mówi i myśli, poszła tak czysto, z taką precyzyją, jakby była owocem długich prób.

„Miłość i dyplomacyja" zakończyła szereg widowisk przedświątecznych. Artyści polscy zeszli ze sceny ustępując miejsca pięknym Helenom, Galateom, przeźroczystym tunikom i wszystkiemu co za tém idzie, a w końcu politowania godnym chórom niemieckiéj operetki. która tu zawitała ze swoim meteorem panną Fiszer. I tu jak we Lwowie publiczność nie szczędziła oklasków jasnowłoséj „greczynce"; nie była to jednak ta sama publiczność, która przyklaskiwała pani Modrzejewskiéj. Koszary i Kazimierz dostarczyły tą razą licznego kontygensu, a oprócz téj publiczności nie wielu było takich, którzy przyszli z czystego amatorstwa greckiéj toalety i nie greckich kształtów. Nam słuchającym śpiewu panny Fiszer żal się doprawdy robiło, że taki piękny głosik, a piękniejszy jeszcze sposób śpiewania ze wszelkiemi możebnemi cieniowaniami, trilerami itd. marnuje się na usługach wyuzdanéj, zmysłowéj Offenbachowskiéj muzyki.

Nadchodzące święta zamknęły drzwi teatru, natomiast kuchnia i rynek stały się widownią nowych sztuk i przedstawień. Wyjdź tylko na rynek krakowski między stragany napiętrzone struclami, które gospodynie macają i wąchają, między pluskające się ryby, między jabłka; między żydówki zachwalające przechodniom wrzaskliwie miód, śledzie i orzechy — idź do sklepów Fischera, Feintucha, Waltera, Jawornickiego oblęganych przez tłumy kucharek i służących, a w końcu w ten gaj zielonych świerków, na które dzieci w domu niecierpliwie czekają — a znajdziesz tysiące scen komicznych, ciekawych dyjalogów i bezpłatnych widowisk. Dowcip epigramatyczny przekupek krakowskich ma tu szerokie pole do popisu; szkoda, że cenne te epigramata nie znalazły swojego zbieracza. Ja miałem przyjemność słyszeć ich kilka, ale niestety nie mogę się niemi podzielić z szanownemi czytelniczkami, z tego głownie powodu, że możeby nie przeszły przez cenzurę przyzwoitości.

Wieczorna gwiazda wigilii ucisza halas na rynku, zapuszcza ciemną kurtynę nocy na targowe sceny; nastaje uroczysta chwila objadania się, po którém hygiena i zwyczaj zaleca przechadzkę na pasterkę. I tu znowu czeka nas widowisko — szopka. Dziś jest ona zabawką dzieci; nie trzeba nam jednak zapominać, że te religijne sceny dały początek dramatycznéj sztuce tak w pogańskiéj Grecyi, jak i średniowiecznym katolicyzmie. I to jedynie skłoniło mnie, żem się ośmielił szopkę umieścić w kronice teatralnéj. *Sit venia mihi.*

B.

Kronika. (Karnawał — Wieczyste rucho i wieczory muzykalne.)

Wszystkie małe i wielkie wypadki znikają wobec czarodziejskiego słowa karnawał. „W potokach światła, woni, kolorów, gorąca“ nadciąga ten rydwan szaleństwa, strąca do rowu ładowne bryki rozsądku i umiarkowania, poprzedza go rozkoszny powiew gazy i koronek, odgłos arlekińskich dzwonków i gorączkowych tonów walca mąci uroczą ciszę — jeśli ona jest gdzie jeszcze — słońce się kryje poza chmury, a z nocy staje się dzień, na zegarach serc i wyobraźni występują wśród zygzaków i fantastycznych arabesek tylko cyfry i daty zapustnych nadziei, jakoto:

13 stycznia 1869 r. bal akademicki w Krakowie.
20 dto bal Muzy.
27 dto bal techniki.
3 lutego t. r. bal kasyna artystyczno-literackiego, a gdyby chcieć wypisać daty podobne ze Lwowa, z Poznania i z mniejszych miast, nie byłoby końca téj litanii. Wśród wiru i chaosu nie usłyszy ani noworocznych westchnień redaktorów za prenumeratorami, ani ciężkich narzekań papy dobrodzieja na wydatki i zbytki, ani złowrogiego łoskotu z podziomów Wieliczki, ani... ani... lecz chyba tylko jaką świecką modlitwę: „Inni się modlą do Madonny, inni do Piotra i Pawła, ale ja tylko do ciebie, do ciebie moje ty słońce“. Albo też, kto zna się na rzeczy, może podsłuchać:

Na pięciu zarzucę wędkę:
Słowem, oczami, uśmiechem,
Uściskiem ręki zczaruję,
Gorącym struję oddechem —
Wydam się w tym karnawale
Lub skonam w tańcu i w szale...

Napróżno niejeden stary nudziarz odezwie się czasem na ucho: ej mosanie, oszczędzaj sił ostatka i nie trwoń darmo grosza i czasu, hołubcem nie spolujesz żony! — Napróżno niejedna gdérliwa krekurenda szeptać będzie: nie frygajcie się panienki, na plewy tylko dudków łapią! Napróżno niejeden sprytny rozumek sam siebie ostrzegać będzie: ej, jak serduszko nieostrożnie zagra, to główka pójdzie w tany, a duszyczka potém w płacz! — Wszystko to napróżno, nie w porę, dosyć na to będzie czasu, jak nadejdą popielcowe medytacyje — tymczasem do szeregu — chciałem powiedzieć, do ronda.

Ale pardon mesdames! Przez zapomnienie byłbym wyrządził krzywdę wielu zacnym osobom. Bo oto jest jeden instrument, którego grania zawsze i wszędzie słychać, a w karnawał więcéj jak kiedykolwiek. Instrument ten to świegotliwy i niepowściągliwy języczek, a melodyjki, które wygrywa, to plotki, bajki i obmowy. Są to cnoty, w których także Kraków ze Lwowem o pierwszeństwo walczy. Maleńki przykład. Kasyno artystyczno-literackie urządza bezpłatne muzykalne wieczory. Zespoliły się siły szkoły muzycznéj, Muzy i samego kasyna, i z miasta chętny współudział; więc wypadają bardzo świetnie. Odbywają się w zamkniętém towarzystwie, gdyż wstęp mają tylko członkowie resursy z rodzinami. Z tych przyczyn nie podlegają krytyce — za to podlegają pod prawa obowiązujące każde prywatne towarzystwo, tj., że wolno obmawiać. Więc nuże w ruch instrument: a to bezczelność, tak śpiewać (a mogła się téż lepiéj ubrać, a cóż to za farsa ta pieśń), ależ nudzą, nudzą temi triami! myślałam, że to dziady beczą! żeby to choć zatańczyć po tych nudach! a jużto panie X. i Y. tak się naprzód pchają, jakby to tylko dla nich był wieczór!... Wszystkie te i mnóstwo innych wyroków możnaby napisać w cudzysłowie i położyć podpis pod każdy. Ależ na miły Bóg trzeba wiedzieć, że członkowie kasyna przysięgali publicznie, że nie mają i nigdy nie mieli zamiaru kogoś do słuchania przymuszać! Więc wybaczcie im tę śmiałość, że wam za darmo grają i śpiewają, i nie bierzcie za złe tym paniom, które łaskawie słyszeć się dają, że i nadal zapewne współudziału swojego nie odmówią, aby przyjemnie i pożytecznie wieczór przepędzić. — Dziwna jednak rzecz, że za każdym razem większy ścisk — za to na koncercie Muzy jakoś pusto było. — A przecież tam dopiero można sobie było pozwolić, bo już za swoje pieniądze!

Bądź co bądź, nie wiem jak komu — lecz co do mnie, cieszę się niesłychanie, że praktyka języczkowa tak u nas kwitnie — boć mi to dostarczy rozmaitych ciekawości do przyszłych kronik, których bez tego pewniebym się nie dowiedział. Ale niechaj się nikt nie boi. Kronika, to osoba łagodna, co najwięcéj jeżeli szpilką ukłuje w jakie bolące miejsce.

Mody na styczeń.

Opis ryciny.

Strój balowy. Suknia żółta atłasowa obszyta dołem falbaną z szerokiéj koronki, na nią spada druga falbana z atłasu, przykryta z przodu koronką przyszytą w okrąg ku bokom, a w tyle do białéj iluziowanéj tuniki zebranéj z boków we fałdy i podpiętéj żółtemi rozetami z atłasu. Stan wycięty w ząb, obszyty w około gorsu do góry stojącą koronką, bufate rękawki zakończone podwójną falbaną z koronki. We włosach żółty jaskier z zielonemi liściami i trawami o białych końcach.

Strój domowy. Suknię długą z szkockiego tartanu lub rypsu pokrywa kratka popielata jedwabna, obszyta dołem falbanką a z boku podpięta takiemiż fontaziami, stan z przodu wyłożony szkockim rypsem, obszyty jedwabnemi falbankami, pasek szkocki z sutą szarfą.

Ubranie dla dziewczynki. Spodniczka wełniana w paski, druga z wierzchu z wyciętym staniczkiem, w drobny rzucik, obszyta jedwabną falbanką i spięta w tyle fontaziem. Biała mulowa koszulka w bufki pod staniczkiem, na wierzchu kaftanik biały sukienny, wyszyty czarnym szutaziem.

Opis krojów.

Mantylka „**Melanie**“.

Fig. 1. * * * * * * Ładny ten krój polecamy do sukien wyciętych. Także mantylka robi się z mulu i wstawek koronkowych, garniruje się wstążką w kolorze sukni i takimże paskiem szarfy w stanie się przepasuje.

Mantylka z czarnego tiulu.

Fig. 2. Przód.
Fig. 3. Połowa kapiszona. } × • × • × • × • × •
Fig. 4. Połowa dolnéj części.

Okrojone części z czarnego tiulu łączą się podług oznaczonych głosek. Jak już zupełnie zeszyte, obszywa się koronką mantylka, kapiszon i dolne części. Na kapiszonie w tyle przyszyta szarfa atłasowa, także szarfa z paskiem spięta w stanie.

„Berta“ ze szarfami do sukni.

Fig. 5. × — × — ×. Zrobiona z białego tarlatanu lub tiulu garnirowana koroneczką, brzegiem zakończoną atłasowemi rulonami i małemi fontaziami, służy do sukien wyciętych na wieczorki domowe.

Fartuszek dziecinny.

Fig. 6. Przód.
Fig. 7. Plecy. } — • — • — • — •
Fig. 8. Ramiączko.

Paletot dla chłopczyka.

Fig. 9. Przód oo — oo — oo —.
Fig. 10. Plecy.
Fig. 11. Pasek. } — — — —
Fig. 12. Kołnierz.
Fig. 13. Rękaw.

Wszystkie części krają się z kortu i podług głosek ze sobą się łączą. Brzeg paletota lamowany tasiemką wełnianą. Przód od góry do dołu zapięty na guziki kościane z uszkami.

Paletot dla dziewczynki.

Fig. 14. Przód • • • • • • • • •.
Fig. 15. Plecy. } o o o o o o o
Fig. 16. Rękaw.

Kraje się go z kortu, tak jak poprzedzający się zeszywa, z przodu na guziki zapięty od góry do dołu. Na około paletot i rękawy obłożone barankiem takiego koloru jak kort.

Kaptur **„Russe“**.

Fig. 17. Kaptur. } — — — — — —
Fig. 18. Kołnierz.
Fig. 19. Szarfa. ~~~~~~~~~~

Praktyczny i bardzo wygodny ten kaptur jest cokolwiek watowany i marseliną podszyty. Na około krajem okłada się go wąziutko futerkiem, fontaż z takiéj materyi jak kaptur umieszczony nad czołem.

Opis wzorów.

Nr. 1. Wzór na wachlarz. Można go wyszyć na wachlarzu kupionym, np. na białym wachlarzu — czarnym cienkim jedwabiem, a będzie wyglądał jak pokryty koronką.

Nr. 2. Narożnik na przykrycie stołu wyszyty na kolorowém suknie ściegiem ruskim.

Nr. 3. Środek na poduszkę. Aplikacyja z aksamitu lub sukna przyszywana ściegiem ruskim.

Nr. 4. Wyszycie sznurkiem lub szutaziem czarnym na koloro wém suknie, służy na pokrycie podnóżka.

Nr. 5. Wyszycie na mulu ściegiem ruskim jako deneczko do czepka lub mała poduszeczka na szpilki.

Nr. 6. Podbródek z białéj piki wyszyty szutaziem.

Nr. 7—8. Czepeczek dla dziecka; haft na mulu.

Nr. 9—10. Gors i brzeg rękawa do koszuli damskiéj, haft atłaskiem na cienkiém płótnie.

Nr. 11—12. Dwa wzory haftu na mulu mogą być użyte do czepków lub na małe poduszeczki na szpilki.

Nr. 13. Wzór liścia na poduszeczkę pod zegarek robi się z zielonéj materyi i czarnym jedwabiem zakończa kraje.

Nr. 14. Czepeczek ranny zrobiony z mulu, wyszyty czarnym edwabiem.

Nr. 15. Wyszycie dołu spodnicy.

Nr. 16. Haft ściegiem ruskim na czepeczek.

Nr. 17. Dół szarfy odpowiedni do czepeczka Nru. 16.

Nr. 18. Wyszycie dolne do fartuszka dla dziecka, którego krój podaliśmy wyżéj.

Nr. 19. Wyszycie około szyi fartuszka.

Nr. 20. Wyszycie ramiączka.

Nr. 21—22. Dwie wstawki; haft biały.

Nr. 23—24. Wzór na kołnierzyk stojący i mankiety. Haft na batyście.

Nr. 25, 26, 27, i 28. Rozmaite wzory na haft jedwabiem różnokolorowym do przybrania kapturów, basztyków lub mantylek.

Nr. 29—30. Dwie wstawki; pierwsza haft biały podłożony kolorową wstążką, druga ściegiem ruskim.

Nr. 31, 32, 33, 34, 35, i 36. Głoski: **G. R. M. S. L. B.** do haftu na chustki do nosa lub serwety.

Nr. 37, 38, 39, 40, 41, i 42. Głoski: **Q. L. D. E. G. H.** haftować atłaskiem.

Nr. 43. **F. G.** haftowane w grube dziurki.

Nr. 44. **F. G.** Stembnowane brzegiem, a we środku drobne kropki wyszyte.

Nr. 45, 46, 47, 48, i 49. **L. S. M. S. T. V. Z.** tym samym sposobem zrobione co poprzedzające.

Nr. 50. **A. B.** haftowane atłaskiem.

*** **Czytelni ludowej** wyszły dalsze dwie książeczki: „Pogadanki księdza proboszcza pod Lipami“ i „Obrazki historyczne“. Treść, sposób opowiadania, ilustracyje, wszystko to jest zajmujące, pouczające, powabne i przystępne. Wydawnictwo to nader pożyteczne, zasługuje na jaknajwiększe rozpowszechnienie. — Prenumerata na pół roku wynosi 2 złr. 20 c.

*** **Abecadlnik w wierszykach** przez Wł. Bełzę. — Do każdéj litery stósowny wierszyk — miły i pouczający. — Książeczka to bardzo dobra.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałuck.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 zlr. w. a.
Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“ księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.

List zwrotny.

Rysunki Artura Grotgera z wystawy paryzkiéj 1867 roku.



POŻOGA.

KALINA

TYGODNIK ILLUSTROWANY.

Ciesząc się łaskawém uznaniem i względami Szanownych Czytelników i Czytelniczek, nie uważamy za właściwe pisać sobie modnéj dzisiaj reklamy.

Pismo nasze wychodzić będzie pod tym samym co dotąd kierownictwem, wzbogacone nowemi siłami.

Zapewniliśmy bowiem sobie stałe współpracownictwo ludzi uznanych zasług na polu piśmiennictwa naszego, jak: pp. *Władysława Sabowskiego (Wołody Skiba)*, *W. L. Anczyca*, *Jana Stożka (El.....y)* i innych.

Dział krytyczny i estetyczny powiększony nowym działem przeglądu literatury zagranicznéj, prowadzić będzie jak dotąd główny nasz współpracownik p. *O...le* (Dr. *W. M. Olendzki*).

Nadto pilnie śledzić będziemy za ruchem kwestji stowarzyszeń kobiet w Anglii i Niemczech—podając treść dzieł lub rozpraw kwestją tę traktujących.

O ile miejsce na to pozwoli, dawać będziemy kronikę paryzką i korespondencje zagraniczne.

Nie przepomniawszy również i o praktycznej stronie naszego pisma, podawać będziemy **mody i wzory najnowszych** fasonów **paryzkich** każdego pierwszego tygodnia miesiąca. Na czas zaś karnawałowy dawać będziemy **podwójny** arkusz **mód** — jeden strojów balowych, drugi toalety salonowéj. Słowem, staraniem naszém będzie podnieść wszystkie działy naszego pisma, ufni, że łaskawi Czytelnicy pracę naszą popierać zechcą.

Redakcja.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesyłką pocztową: rocznie: 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c. w a.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Wiślna, albo w księgarni J. Czecha lub F. Baumgardtena.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcji.

Imie i nazwisko ....

Ostatnia poczta ....

Miejsce zamieszkania ....

Posełam prenumeratę na tygodnik illustrowany „Kalinę“ w ilości Złr. .... **centów** .... **w. a.**

Na mody „ .... **„** ....



POLOWANIE Z CHARTAMI. (Rysunek Kossaka)



L A T O. (Rysunek F. Kostrzewskiego).

Do

Administracji „KALINY"

wewnątrz pieniądze prenumeracyjne

w ilości złr. .... c. ....

franco.

w Krakowie.